

Tu nie będzie rewolucji

4 października 2014

Szkocja pokazała, że radykalizm może zwiększyć dynamikę skostniałej polityki, a zmiany są konieczne. Partia Pracy wybrała jednak ostrożność. To ryzykowna gra ze społecznymi nastrojami i oczekiwaniami.

Po kampanii referendalnej i towarzyszących jej silnych społecznych oraz medialnych emocjach powrót do normalnej politycznej rzeczywistości jest trudny. Społeczne podniecenie, ekscytacja i adrenalina znikają. Polityczny puls słabnie. Euforia zostaje zastąpiona pragmatyzmem. Marzenia ponurą rzeczywistością. Szalone wizje twardym realizmem. Nuda jak w kinie na polskim filmie.

Zeszlotygodniowa konferencja partyjna Labour odbywająca się w Manchesterze pokazała zachowawczą partię, która nie potrafi i nie chce wpisać się w coraz bardziej radykalizujące się nastroje społeczne. A być może to tylko złudzenie i fatalny czas. Jeśli dla politycznego życia referendum w Szkocji było szaloną imprezą na speedzie, konferencja Partii Pracy była poranną kawą. Być może samą w sobie całkiem mocną, ale w porównaniu z głośnym szkockim politycznym drum & bass czymś na kształt festiwalu piosenki biesiadnej. Ed Milliband, lider laburzystów przymierzający się do fotela na 10 Downing Street, nie był w stanie wywołać podobnej ekscytacji i porównywalnych emocji. Nie tylko dlatego, że ma osobowość księgowego i aparycję urzędnika. Polityczna zachowawczość i ideologiczny konserwatyzm to przemyślana strategia opozycji. Osiem miesięcy przed wyborami partyjni stratedzy robią wszystko, żeby dać jak najmniej amunicji politycznym oponentom. Strach przed rządzącymi torysami i wspierającą ich brytyjską prasą paraliżuje Labour i nie pozwala rozwinąć radykalnych skrzydeł. Nawet jeśli ten radykalizm jest dziś zarówno konieczny, jak i oczekiwany przez coraz większą liczbę wyborców.

Hasło, które Ed Milliband powtarzał, namawiając Szkotów do pozostania w Zjednoczonym Królestwie, można było usłyszeć w kuluarach także w Manchesterze. „Ryzyko, którego nie warto podejmować” stało się mottem przyświecającym Labour. Paradoks polega na tym, że polityczna ostrożność może się okazać prawdziwym ryzykiem. Brytyjska lewica źle odczytuje społeczne nastroje, co może się skończyć przegranymi wyborami.

BARYKADY NA PÓŁNOCY

Po zwycięstwie zwolenników pozostania w Wielkiej Brytanii media straciły zainteresowanie Szkocją. Tymczasem na Północy polityczne napięcie nie zniknęło. „Separatysty” przegrali, ale nie złożyli broni. Uliczni aktywiści – głównie młodzież i klasa robotnicza – wciąż dyskutują, piszą blogi, upolityczniają media społecznościowe i, co ważniejsze, gremialnie wstępują w partyjne szeregi. Jeśli w Anglii członkostwo w partii systematycznie maleje, w Szkocji dominuje zupełnie odwrotny trend. Szkocka Partia Narodowa zarejestrowała 37 tys. nowych członków, a członkostwo Szkockiej Partii Zielonych się potroiło. Oblężenie przeżywają także polityczne organizacje niezależne od partii. Organizacja Women for Independence ogłosiła, że zwiększyła liczbę swoich członkiń o 50 proc.

To wszystko jest dowodem na to, że polityka wciąż może rozpalać społeczne emocje, dawać nadzieję i być katalizatorem obywatelskiej aktywności. Próba oderwania się od Wielkiej Brytanii nigdy nie była tylko i wyłącznie walką o niezależność i własne państwo. Ci, którzy głosowali za niepodległością, w dużej części głosowali także przeciwko polityce oszczędności, prywatyzacji, nielegalnym wojnom i elitom w Westminsterze. Przeciwko neoliberalizmowi, który dziś – mimo kryzysu i kompromitacji tej idei – wciąż dominuje w myśleniu i działaniu brytyjskich elit politycznych. Po obu stronach politycznego sporu. Wśród separatystów wielu było wyborcami Partii Pracy. Te poglądy, chociaż prezentowane w innym, znacznie łagodniejszym tonie, są obecne również na Południu. Zwłaszcza

wśród tradycyjnych wyborców i sympatyków Labour. Betonowy elektorat lewicy do tej pory nie miał gdzie odpłynąć i przez liderów partyjnych nie był zupełnie brany pod uwagę. Liberalni Demokraci dla lewicowych wyborców byli kiedyś co prawda partią drugiego wyboru, ale na ich wsparcie decydowali się raczej dobrze sytuowani mieszczaństwo, a nie robotnicy. I to w niewielkiej liczbie. Teraz to się zmienia. Między 1997 a 2010 r. Labour utraciła 4 mln głosów klasy robotniczej. Zawiedzeni wyborcy nie mieli swojej reprezentacji i podczas wyborów zostawali w domach. Dziś UKIP mozolnie, ale systematycznie te głosy zagospodarowuje. Miasta takie, jak Newcastle i Liverpool, przez dekady będące solidną bazą Partii Pracy, przeżywają prawdziwy Farageizm. Wzrost poparcia dla Farage'a w Anglii nie wynika tylko z odradzającej się ksenofobii i nastrojów antyemigracyjnych, podkreślanych przez polonijne media, ale przede wszystkim ze złości i powszechnego poczucia bezalternatywności. Ed Milliband na partyjnej konferencji w Manchesterze te nastroje zbagatelizował.

MIĘDZY JUTREM A WCZORAJ

Polityka to twardy biznes. Lider Labour od początku swojej kadencji wciąż tkwi w potrzasku. Od początku miał dwa główne zadania: inspirować i łagodzić. Dostarczyć wizji przyszłości i wytłumaczyć przeszłość. Walczyć o lepsze jutro i jednocześnie zdefiniować i odrzucić partyjne błędy z wczoraj. Stąd wypływa polityka ostrożności. Progresywny krok naprzód i konserwatywne dwa kroki w tył. Taniec na cienkiej politycznej linii w świetle ostrych medialnych reflektorów oświetlających każde potknięcie. Odcinanie się od neokońskiej polityki Tony'ego Blaira, aby przeciągnąć na swoją stronę lewicowych wyborców, przy jednoczesnym łagodzeniu radykalnych kantów Labour z lat 70., aby walczyć o centrum.

Taktyka kluczenia była widoczna podczas zeszłotygodniowej konferencji w całej okazałości. Miliband podczas swojego 65-minutowego wystąpienia wygrywał progresywne tony, łagodne później przez przyszłego kanclerza Eda Ballsa konserwatywną

partyturą fiskalną. Miliband mówił o podniesieniu podatków dla najbogatszych, Balls kontrapunktował zamrożeniem zasiłków dla dzieci w następnych pięciu latach. Miliband obiecywał ponad miliard funtów na służbę zdrowia, Balls przyrzekał, że polityka zaciskania pasa będzie kontynuowana. Miliband ogłosił, że wybuduje 200 tys. nowych mieszkań, Balls do znudzenia mamrotał o tym, że równowaga budżetowa będzie zachowana.

Obsesja dwóch liderów Labour na punkcie liczb i budżetu jest najistotniejszym elementem wyborczej kampanii. Rachunki mają się zgadzać i zapewnić ochronę przed atakiem Partii Konserwatywnej oraz mediów, obnażających ewentualną rozrzutność i ekonomiczną niekompetencję opozycji. Sumienna praca na okienkach w Excelu na niewiele się zdaje.

W reakcji na przemówienie Milibanda rządzący konserwatyści zwrócili uwagę, że szef laburzystów nie mówił nic na temat rozwoju gospodarki. Torysi przekonują, że laburzyści nie mają długofalowego planu gospodarczego, mogącego zabezpieczyć przyszłość Wielkiej Brytanii.

– Wszystko, co Miliband oferuje, to rozrzutność, więcej pożyczania i więcej podatków. Nie można sfinansować NHS, jeśli straci się kontrolę nad finansami państwa i doprowadzi do bankructwa gospodarkę, jak to ostatnio zrobiła Partia Pracy – powiedział wiceszef Partii Konserwatywnej Grant Shapps.

Bitwy o ekonomiczną narrację Labour nie jest w stanie wygrać. Balls próbuje co prawda zbudować tarczę chroniącą Milibanda przed wściekłymi atakami City i biznesu, ale na toksyczną retorykę konserwatywnej prasy i rządzących torysów nie ma antidotum. Tym większym błędem wydaje się rezygnacja z prawdziwych progresywnych idei, które mogłyby przeciągnąć na stronę opozycji rozczarowanych i zmagających się z polityką oszczędności Camerona i Osborne'a. Ostrożność jest dla Labour skalkulowanym, politycznym ryzykiem, które warto ponieść dla zdobycia władzy, ale dla wielu mieszkańców Wielkiej Brytanii

oznacza to brak nadziei na bardziej sprawiedliwą przyszłość.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)